

Ruta Czaplińska

3 listopada 1947 roku

Niepodległość i Pamięć 4/1 (7) [1], 177-192

1997

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Ruta Czaplińska "Ewa"

3 listopada 1947 roku

Ta data pozostanie na zawsze w mojej pamięci. Był to bowiem dzień ogłoszenia wyroku w procesie Komendy Głównej Narodowego Zjednoczenia Wojskowego, w którym byłam jedną z oskarżonych. Proces rozpoczął się 6 października, a odbywał się na terenie więzienia mokotowskiego, w dawnej kaplicy.

Zanim jednak doszło do procesu, który miał być "głośny" ("*Będziesz sławna Ruta*" - obiecywał mi Różański po wstępnej "obróbce" w swoim gabinecie MBP), a toczył się po cichutku - było ciągnące się półtora roku śledztwo, mające na celu odtworzenie naszej "zbrodniczej działalności", trwającej w sumie około jednego roku.

Narodowe Zjednoczenie Wojskowe, przemianowane później na Narodowy Związek Zbrojny, powstało ze scalenia NSZ z tą częścią NOW, która w 1942 roku poszła do AK. Komenda Główna NZW, której siedzibą stała się Łódź, gdyż tam zamieszkała większość jej członków, podlegała Wydziałowi Wojskowemu Stronnictwa Narodowego, kierowanego przez prezesa - Włodzimierza Marszewskiego ("*Gorczycę*"). Nazwa ta w terenie na ogół się nie przyjęła i nadal stosowano dawny termin NSZ, zwłaszcza, że i cały aparat propagandy i sądownictwa PRL też go używał.

Na wiosnę 1946 roku aresztowano kilkadziesiąt osób, a wśród nich także komendantów terenowych NZW. Nie uniknęli aresztowania członkowie Komendy Głównej, z wyjątkiem jej Komendanta Głównego płk. Bronisława Banasika ("*Stefana*") i szefa wydziału informacji - kpt. Jerzego Pilacińskiego ("*Lecha*"), którym udało się zbiec za granicę. W rezultacie zostali aresztowani: por. Lechośław Roszkowski "*Tomasz*" - szef wydziału organizacyjnego, kpt. Tadeusz Zawadziński "*Wojciech*" - szef wywiadu, kpt. Jan Morawiec "*Henryk*", "*Remisz*" - szef Pogotowia Akcji Specjalnej (PAS), por. Jan Golka "*Klemens*", "*Łukasz*" - zastępca szefa wydz. propagandy, Tadeusz Łabędzki "*Jacek Białynia*" - szef Młodzieży Wszechpolskiej i redaktor pisma "*Wszechpolak*", ściśle współpracujący z Komendą Główną, ppłk Tadeusz Zieliński "*Wujek*" - komendant Okręgu Lubelskiego NSZ-NZW i II Obszaru NZW, por. Jerzy Hass "*Robert*" - komendant Okręgu Krakowskiego NZW, ppor. Ruta Czaplińska "*Ewa*" - szef łączności KG, sierż. Maria Nachtman "*Agata*", Wanda Ceraska "*Dusia*" oraz Walentyna Jeremicz "*Wala*" - łączniczki Komendy Głównej¹.

1 Leszek Żebrowski, *Narodowe Zjednoczenie Wojskowe 1945-1956*, "Nowy Świat" 11-12 I 1992 oraz *Dokumenty NZW - Tekst raportu J. Pilacińskiego*. Marcin Zaborski, *Komenda Główna NZW przed sądem komunistycznym*, "Nowy Świat" 19-19 I 1992.

Jednym z pierwszych aresztowanych i sądzonych w tym procesie był "Wujek", bo już 18 marca. Następnie, 22 marca "w kotłach" został zatrzymany "Henryk". Ten niesłychanie dzielny człowiek zdołał 13 marca wyrwać się z kotła zastawionego przez UB w Łodzi, po aresztowaniu jednego z członków NZW. Widziałam "Henryka" po tej ucieczce. Pamiętam, jak opowiadał, że gdy wszedł do mieszkania, zapytano go o dokumenty, a w odpowiedzi on się uśmiechnął, "ale gorzki to był uśmiech", wyciągnął rewolwer, zranił dwóch funkcjonariuszy i uciekł. Świetnie wysportowany biegł długo. Dotarł do dworca Łódź Fabryczna i tam w pobliskich krzakach usiadł. I wtedy nogi mu odmówiły całkowicie posłuszeństwa. Przez jakiś czas nie mógł się w ogóle poruszać, bo tak silne było nerwowe napięcie i po nim reakcja. - Na jego ślad wpadło UB ponownie już 22 marca w Warszawie. Udało mu się wyrwać z kotła przy ul. Dynasy, ale tego samego dnia ujęto go w mieszkaniu przy ul. Wołoskiej, gdyż przy próbie ucieczki został ranny w nogę. Jak wszyscy, aresztowani później pierwsze tygodnie śledztwa spędził w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego przy ul. Koszykowej. Udało mu się stamtąd wystać grypsy do będących jeszcze w kraju "Stefana" i "Lecha", w których ich poinformował o swoim aresztowaniu i o tym, że jest ranny w nogę i ma zapalenie płuc. Inny gryps "Henryk" skierował do mnie. Niestety, nie doszedł on do moich rąk, a znalazł się na biurku Różańskiego, który mi go z gustem odczytał. Jego pełną treść otrzymałam stosunkowo niedawno od Marcina Zaborskiego i dlatego mogę go przytoczyć: *Jestem aresztowany. Mam postrzeloną nogę powyżej uda. Czuję się kiepsko. O nas mało wiedz. Aresztowani są - Magister sypie. Wujek - nie wiem. Sochaczew niebezpieczny. Mjr Józef też. Sypać nie będą. Jest możliwość odbicia. Trzeba ludzi zdeterminowanych. Oddawca kartki wyjaśni dowódcy takiej grupy. Wiem co mnie czeka. Gdyby nie noga, to sam próbowałbym... Oddawcy kartki dopłacać miesięcznie 2-3 tys. zł. Prócz tego PAS ograniczyć w konspiracji. Proszę mi przestać dwie trutki stanowczo. Może mi się uda pewien manewr. Bić mnie na razie nie biją. Sciskam dłoń. Henryk R.*

I dopisek jego ręką, zrobiony podczas śledztwa: *odpis niniejszy jest zgodny z wystanym przeze mnie treścią grypsu - J. Morawiec.*

Mnie aresztowano w moim mieszkaniu 5 kwietnia i tego samego dnia pod "troskliwą opieką" trzech ubowców (siedziałam na tylnym siedzeniu między dwoma ubekami uzbrojonymi w pepesze) zawieziono mnie do MBP w Warszawie. Do "kotła" w moim mieszkaniu wpadł następnego dnia Leszek Roszkowski, a potem w swoim mieszkaniu Tadeusz Łabędzki (mieszkaliśmy w tej samej oficynie). Tadeusz, przewieziony na Koszykową, po pierwszym dniu straszliwego śledztwa zmarł. Tadeusz Zawadziński został aresztowany 8 kwietnia w Warszawie i tego samego dnia Janek Golka. Agata, Dusia i Wala zostały aresztowane również w Warszawie w dniach 6, 7, i 8 kwietnia.

Zanim jednak przejdę do samego procesu, muszę powiedzieć kim byli główni oskarżeni, nakreślić ich sylwetki, przywołać pamięć tych wspaniałych ludzi, serdecznych i tak bliskich kolegów, a jednocześnie autorytetów moralnych.

Tadeusz Zawadziński "Wojciech" - kolega i przyjaciel mego najstarszego brata Szymona - poległego 11 września 1939 roku i szwagra - Jerzego Grabowskiego ppor. rez. - rozstrzelanego 18 marca 1942 roku Wszyscy trzej ukończyli Gimnazjum XX Marianów na Bielanych w 1935 roku. Tadeusz przyjaźnił się także z moim drugim szwagrem - Bolesławem Knabe i u nich w Łodzi był zameldowany. Od czasów gimnazjalnych był zaangażowanym członkiem Młodzieży Wszechpolskiej, a w czasie

wojny żołnierzem Narodowej Organizacji Wojskowej. Studiował na wydziale elektrycznym Politechniki Warszawskiej. Cechowała go wielka inteligencja, szybkość orientacji i podejmowania decyzji, odwaga, wierność przyjaźni. Sam zagrożony aresztowaniem, potrafił jeszcze ostrzec moją Siostrę, wysyłając do niej kogoś z organizacji, który dotarł do niej na Wybrzeże, gdzie mieszkała, w ostatniej chwili, gdy u niej w domu byli już ubecy, aby ją aresztować. W ten sposób moja Siostra uniknęła grożącego jej aresztowania, a w konsekwencji i więzienia, była bowiem łączniczką na Okręg Morski i Pomorski.

Tadeusz był niestęchanie łatwy w życiu domowym. W czasie wojny często przebywał w domu moich Rodziców na wsi. Jego dziełem była instalacja elektryczności napędzanej przez wiatraczek umieszczony na dachu naszego domu. Światło było wprawdzie słabe, ale było. Później, już w Łodzi, w wolnych chwilach umiał wspaniale bawić się z trzyletnią, najstarszą córeczką mojej młodszej siostry. Wszyscy żyliśmy wtedy bardzo skromnie, a mój szwagier oszczędzał jak mógł na sobie, żeby dzieci i żona nie zaznały głodu. Tadeusz potrafił go sprowokować do wzięcia masła twierdząc, że jeśli nie chce sobie posmarować chleba, to on tę część weźmie dla siebie. Jego ogromne poczucie humoru sprawiało wrażenie człowieka bardzo wesołego i beztróskiego. Trzeba go było jednak poznać bliżej, żeby zdać sobie sprawę z jego poważnego stosunku do życia, wielkiej mądrości i rozwagi. Podaję tu jeden przykład z czasów okupacji. Było to na jakimś zebraniu konspiracyjnym, na którym znalazł się konfident. Nie pamiętam, w jaki sposób Tadeusz dowiedział się kim jest ten człowiek, ale pod jakimś pozorem przeszedł do kuchni, gdzie znalazł ciężką popielniczkę, którą po powrocie do pokoju rzucił w głowę konfidenta, który ogłuszony upadł na podłogę. Wtedy Tadeusz polecił zebranyemu uciec szybko tylnymi schodami, bo za chwilę może się zjawić Gestapo. Ta przytomność umysłu ocaliła wtedy życie obecnym na zebraniu. Na Mokotowie w czasie śledztwa Tadeusz siedział w trzeciej celi ode mnie. Udawało nam się porozumiewać od czasu do czasu, albo za pośrednictwem sąsiada, stukając w ścianę, albo bezpośrednio przez okno. Jedna taka rozmowa została podsłuchana. Oddziałowy przybiegł do naszej celi z zapytaniem, która z nas rozmawiała. Żadna oczywiście się nie przyznała. A jednak wziął do karca Halszkę Dunin. Dla mnie było to okropne przeżycie, bo przecież to ja rozmawiałam. Gdybym się jednak przyznała, to obciążylabym jednocześnie Tadeusza i byłyby jeszcze dodatkowe pytania, o czym się rozmawiało. tego więc nie mogłam zrobić, ale przez całe 24 godziny nieobecności Halszki w celi nie mogłam sobie znaleźć miejsca i solidarnie z Nią pościłam tego dnia o chlebie i wodzie. Ku mojej wielkiej radości Halszka wróciła z karca w doskonałej formie fizycznej, a przede wszystkim duchowej. Stwierdziła bowiem, że miała czas na wewnętrzne odrodzenie.

Lechosław Roszkowski "Tomasz" ukończył prawo na Uniwersytecie Warszawskim. Od czasów gimnazjalnych był związany ze Stronnictwem Narodowym, a w czasie studiów działał w nim aktywnie. W czasie wojny żołnierz NOW, a następnie (po scaleniu NOW z AK) w Narodowych Siłach Zbrojnych. W 1939 roku ożenił się, a w 1942 roku urodził się synek - Krzysztof. Żona jego zmarła w 1943 roku i Krzysztof wychowywał się u dziadków, a Leszek pracował jako buchalter w majątku Wałowice (woj. Lubelskie). Ja poznałam Leszka w marcu 1944 roku, gdy z tychże Wałowice jechał do Warszawy razem z moją kuzynką Zofią Faszczówną, która - po ucieczce z Gestapo w Alei Szucha - ukrywała się najpierw w domu moich Rodziców, a w dalszej kolejności w Wałowicach. Wtedy właśnie wstąpili do nas. Odwoziłam ich na sta-

cję w Puławach. Leszek został w Powstaniu ciężko ranny w głowę. Odłamek utkwił mu w czaszce i nie mógł być wyjęty. Z tej racji Leszek często cierpiał na silne bóle głowy. Do wojny - razem z rodzicami i bratem - Mirosławem - mieszkał w Łodzi przy ul. Gdańskiej 23 i zamieszkał tam po przejściu frontu. W końcu marca 1945 sprowadziliśmy się do tego mieszkania; moja siostra ze szwagrem i dziećmi oraz nasza Matka, brat i ja. Leszek i mój szwagier - Bolesław Knabe - przyjaźnili się ze sobą. Obaj mieszkali przed wojną w Łodzi i obaj byli związani z ruchem narodowym. Myśmy przyjechali ze wsi Opypy pod Grodziskiem Mazowieckim, gdzie na lato wynajęta chałupę moja starsza siostra - Bogna Grabowska, a dokąd trafiła reszta rodziny, wyrzucona z domu przez wojsko niemieckie w czasie ofensywy 1944 roku. Przyjechaliśmy przed samą Wielkanocą. Pamiętam, że pierwsze święta spędziliśmy razem, a drugiego dnia Leszek poszedł z wizytą do znajomych, jak nam powiedział i przepadł. Nie było go przez cały miesiąc. Nie było od niego żadnych wiadomości, a my nie mieliśmy pojęcia, gdzie możnaby go szukać lub czegoś się o nim dowiedzieć. Wrócił 3-go maja. Okazało się, że wpadł w kocioł. Opowiadał później, że bardzo modlił się do Matki Boskiej i wierzył, że zostanie zwolniony. I w dzień Jej święta powrócił do domu. O kotle i o swoim tam pobycie nie chciał opowiadać, w ogóle nie lubił mówić o sobie. Jak pamiętam, zaraz po powrocie do domu zaczął kontynuować swoją przerwana działalność podziemną. Zaangażował mnie do pomocy, najpierw jako "wolnego strzelca", a już w czerwcu zostałam zaprzysiężona. Przysięgę składałam na ręce "Henryka". Pozostałam przy swoim okupacyjnym pseudonimie "Ewa". Leszek - jako szef wydziału I Organizacyjnego - był moim bezpośrednim przełożonym. Wydawał mi wszystkie polecenia służbowe. Wiązała nas bardzo ścisła współpraca. Gdy po paru miesiącach wyprowadziliśmy się z Gdańskiej i zamieszkałam z bratem na Kilińskiego, a do mieszkania Leszka sprowadzili się jego rodzice z małym Krzysiem i brat Mirosław - byłam tam bardzo częstym "gościem". Nieraz do późna siedzieliśmy nad jakimiś dokumentami, więc zostawałam tam na noc. Leszek zostawiał mi wtedy swój pokój, a sma układał się gdzieś (w przedpokoju czy na korytarzu, żeby nie budzić nikogo z domowników). Miał wielkie poczucie odpowiedzialności, nie tylko za wykonywaną przez siebie pracę, ale i za podległych mu ludzi, łącznie z ich zdrowiem. Dostałam kiedyś rozkaz pójścia do doktora. Czułam się wtedy wyjątkowo kiepsko, dręczyły mnie bóle w okolicy serca. Musiałam jechać w Lubelskie. Dostałam się do wagonu pocztowego i nie bardzo wiedziałam, jak w ogóle dojadę. Nie chciałam iść do lekarza, ale skoro otrzymałam rozkaz - musiałam go wypełnić. Okazało się, że przechorowałam się na półpasiec. Leszek był głęboko wierzący, żył na codzień Ewangelią i tego samego oczekiwał od nas, swoich podkomendnych. Na zniszczonym już przez lata tomiku Pisma Św. Nowego Testamentu napisał mi: *O Panie Jezu, bądź Panem moim i miłością moją na wieki. Amen.*

Nie pamiętam już kiedy, ale chyba niedługo przed naszym aresztowaniem, Leszek otrzymał rozkaz wykonania wyroku na jednego z przywódców białostockiej partyzantki za niepodporządkowanie się rozkazom i działanie na szkodę organizacji. Świadomość, że musi pozbawić kogoś życia, była dla Leszka strasliwym ciężarem. Prosił mnie o modlitwę w tej sprawie. Misja ta była jednocześnie bardzo niebezpieczna dla niego samego. Szalało tam wtedy UB i w każdej chwili mógł zostać aresztowany. Rozumiałam doskonale, czym była dla niego konieczność wykonania tego rozkazu i oczywiście modliłam się w jego intencji, żyjąc przez cały czas jego nieobecności w ogromnym napięciu. Oczywiście nie mogłam się z nikim podzielić swymi oba-

wami. Po kilku dniach wrócił. Nie musiał wykonywać tego rozkazu, bo władze bezpieczeństwa go uprzedziły i aresztowały tego człowieka. Była to dla Leszka wielka ulga, że nie musiał wykonać rozkazu, a jednocześnie z wielką troską myślał o losach aresztowanego. Po latach udało mi się ustalić, że wyrok śmierci, na który został skazany, został wykonany.

Ostatni raz na wolności widziałam Leszka w przeddzień mego aresztowania. Dowiedziałam się, że w czasie mojej nieobecności ktoś był u mnie w domu i chciał się ze mną zobaczyć nazajutrz. Musiałam się więc dowiedzieć kto mi go przysłał. O ile dobrze pamiętam byli wtedy wszyscy trzej: Leszek, Tadeusz i Jurek Pilaciński "Lech". Stwierdzili, że może to być ktoś od Henryka, więc muszę go przyjąć, ale na wszelki wypadek mam sprawdzić, czy nie jest to zasadzka, czy będzie on sam, czy nie czeka w pobliżu auto, itp. Nikt z nas wtedy nie wiedział, że Henryk już jest aresztowany. Przed tym spotkaniem mieliśmy się jednak wszyscy spotkać na Mszy św. w kościele. Był to akurat pierwszy piątek miesiąca, a Msza św. miała się odbywać w naszej intencji. Poszłam tam na 6 rano, ale byłam sama. Wszyscy trzej koledzy mieli jakieś inne ważne sprawy. Tadeusz i Jurek chyba wyjechali z Warszawy, a Leszek też gdzieś musiał pilnie się udać, bo gdy po Mszy św. zaszłam do niego do domu, to jego matka przekazała mi tylko dużą kopertę od niego i wiadomość, że musiał coś załatwić. Leszek przyszedł do mnie następnego dnia, gdy w moim domu był kocioł (kopertę udało mi się wrzucić pod szafę), a ja już byłam na Koszykowej.

Po około roku powieziono nas do sądu przy ul. Górczewskiej, gdzie byliśmy świadkami w procesie Hanki Dobrowolskiej, Zebci Kadyńskiej i Romana Nierychło (Hanka była łączniczką, a oni skrzynkami kontaktowymi KG). Wtedy mogliśmy ze sobą krótko porozmawiać. A potem był już proces.

Jan Morawiec "Henryk", "Remisz". Henryka - bo pod takim imieniem go poznałam i takim dla mnie pozostał - nie znałam wcześniej. Nie wiedziałam nic o jego osobistym życiu. Widywałam go bardzo często, gdy przyjeżdżał do Łodzi, bywał w moim mieszkaniu, a kiedyś przywiozłam mu do Warszawy pozostawioną dla niego w Łodzi broń i amunicję. W więzieniu jakiś czas siedział piętro niżej pod celą Tadeusza. Wiedziałam, że nie dostaje paczek z domu (pewno miał wstrzymane) i czasem udawało się nam podać mu jakąś przesyłkę za pośrednictwem Tadeusza. To była dość skomplikowana operacja, bo paczuszkę uwiązaną na sznurku trzeba było rozhuścić tak, żeby mógł ją złapać Tadeusz na drut od spłuczki, wystawiony za okno, a potem już spuścić ją na dół do Henryka. Trzeba było uchwycić moment nieuwagi strażnika na wyższym piętrze, nieobecność oddziałowego na korytarzu i przez sąsiada uprzedzić Tadeusza, że wysyłamy "konia".

Wiem, że w śledztwie Henryk trzymał się doskonale, podobnie zresztą, jak Leszek, Tadeusz i inni oskarżeni. *Brał na siebie wszystko, co mogło obciążać podwładnych, wiedząc że jest dla nich jakaś szansa ratunku*².

Tadeusz Zieliński "Wujek". Gdy przyjeżdżał do Łodzi, to zwykle bywał u mnie w mieszkaniu. Kontaktowałam go z innymi członkami Komendy Głównej. Wiem, że miał piękną przeszłość konspiracyjną w czasie wojny i potem, najpierw w NSZ, a potem już w NZW. Był Komendantem Obszaru II, a jednocześnie Okręgu IV (Lub-

2 Leszek Żebrowski, Jan Morawiec - "Remisz" - legenda polskiego podziemia, "Zeszyty Historyczne" Nr 1 październik-grudzień 1990.

lin). Z racji swego stanowiska był w częstym kontakcie z Komendą Główną i pewno z tego powodu był sądzony w tym procesie.

Jerzy Hass "Robert" - dowódca Okręgu VII (Kraków) - był, o ile dobrze pamiętam, świeżo mianowany na stanowisko i właściwie nie zdążył jeszcze prowadzić jakiejś znaczącej działalności. Zobaczyłam go dopiero na procesie, wnoszonego na noszach. Miał uszkodzony w śledztwie kręgosłup. Po paru dniach został wyłączony z naszego procesu i zasądzony oddzielnie. Dostał 6 lat, a po zastosowaniu amnestii 3. Jego losy są mi nieznane, wiem tylko, że nie żyje.

Jan Golka "Klemens", "Łukasz". W czasie okupacji był czynnym członkiem NOW, NSZ a potem AK, zajmując się propagandą. W 1939 roku - po ukończeniu podchorążówki - rozpoczął studia architektury na Politechnice Warszawskiej. W lutym 1945 roku, uprzedzony o możliwości aresztowania, wyjechał do Poznania, gdzie jednak został aresztowany przez NKWD i - chociaż nie rozpoznany - wywieziony za Ural, gdzie pracował przy wyrębie lasu. Powrócił do kraju w październiku tego samego roku. Przyjechał do Łodzi i wtedy go po raz pierwszy zobaczyłam. Wyglądał przeraźliwie. Wychudzony, miał obandażowaną szyję ze względu na owrodzenie węzłów chłonnych. Ja wtedy otrzymałam od Leszka polecenie wyjazdu do Kielc i powiadomienie rodziny o powrocie Janka. W domu zastałam tam jego ojca i siostry. Opowiedziałam im, co wiedziałam o Janku i że go sama widziałam i z Nim rozmawiałam. Mam dotąd w pamięci łzy ojca Janka, spływające po jego twarzy i taką ogromną radość wszystkich obecnych. Dla mnie było to ogromne szczęście, że mogłam być zwiastunem tak dobrych wieści, bo to nie zdarza się często. Janek od stycznia 1946 roku, jako członek Komendy Głównej, był zastępcą "Lecha" - szefa propagandy. Pisał materiały propagandowe i artykuły, powielane w zapoczątkowanych przez niego pismach konspiracyjnych, "Oku" i "Tece". Pamiętam, że napisał też wspomnienia ze swego pobytu na "niełudzkiej ziemi", zatytułowane *I tam też byłam*.

Gdy w lipcu 1946 roku przeniesiono "Zulę" Magnuszewską i mnie z celi na parterze na I piętro, to bardzo szybko stwierdziłyśmy, że pod nami siedzi Janek. Wtedy rozpoczęły się nasze intensywne kontakty: góra-dół. Janek, na spuszczonej przez nas sznurku, posyłał nam swoje wiersze, których natychmiast uczyłyśmy się na pamięć. Były to na pewno *Imieniny Li*, *Trzy róże* i *Maciejki*. Ten ostatni był pisany dla nas. Może były jeszcze inne, ale teraz już nie pamiętam, które nam bezpośrednio przysyłał, a których nauczyłam się już potem od koleżanek. Zulka miała ładny głos, więc stawałyśmy przy oknie, a ona śpiewała. Gdzieś w okolicach 1 sierpnia, a więc rocznicy Powstania, postanowiłam, że i ja coś przekazę sąsiadom. Stałyśmy, jak zwykle, obie przy oknie, a ja recytowałam różne wiersze związane z tą rocznicą, a między innymi *Miasto Miłosza*. Dostałam ogromne brawa od walących w ściany sąsiadów. Ale bardzo szybko wkroczyła oddziałowa i zabrała nas do karcu. Trwało to tylko 24 godziny i było lato. Byłyśmy we dwie, więc mogłyśmy się masować dla rozrywki, bo oczywiście siedziało się nago. A gdy wróciliśmy do celi, naszych sąsiadów już nie było. Było nam ogromnie żal. Wiem, że Janek wędrował po różnych celach i wszędzie nawiązywał żywe kontakty z sąsiadami, dla których tworzył wiersze. Zarówno te wiersze, jak i tworzone dla jego narzeczonej Li, stały się znane na całym Mokotowie, a sam Janek złamał serce nie jednej z naszych więziennych koleżanek. Muszę dodać, że Janek był nie tylko bardzo utalentowanym poetą, ale także uzdolnionym plastykiem. Niestety, jego wyroby z chleba nie przechowały się. Nie przechował się również jego autoportret narysowany ołówkiem atramentowym na wkładce do butów i

ofiarowany "Agacie", z którą uprawiał flirt przez ścianę. "Agata" była uszczęśliwiona, ale radość jej nie trwała długo z racji ostrej rewizji na oddziale, polegającej i na rewizji osobistej, i na wyrzucaniu słomy z sienników. W tej sytuacji "Agata" nie chcąc zdradzić kontaktów z Jankiem zjadła ten bezcenny dar. I tylko fioletowe stróżki w ubikacji były przez kilka dni pamiątką po utraconym prezencie. Na jedenastce cele nie były skanalizowane i wyprowadzano celami dwa razy dziennie - o różnych zresztą porach - do jednej ubikacji na oddziale. Oddziałowy poganiał: *Cela! Prędej, prędej, pośpieszcie się!* Trudno jednak było zmusić organizm do natychmiastowego wykonania rozkazu, więc mimo ciągłych nawoływań, pobyt się zwykle nieco przeciągał. Ponadto trzeba było dokładnie spenetrować wszystkie schowki, żeby odnaleźć gryps lub też zostawić swój. Zdarzały się też różne napisy przeznaczone dla wszystkich. Janek kiedyś napisał mydłem na szybie: "Kupię wialnię!". Bardzo mi się to ogłoszenie podobało.

Wśród sądzonych w procesie KG NZW kobiet ja byłam pierwsza, po mnie następować Maria Nachtman "Agata" - studentka medycyny. Kontaktowałam się z nią w Warszawie.

Była bardzo żywa, wesota i ofiarna. Zawsze gotowa do spełniania wszystkich prośbień. Początkowo była skrzynką kontaktową i łączniczką, a od stycznia 1946 r. jako kurierka Komendy Głównej utrzymywała łączność z okręgami rzeszowskim i śląskodąbrowskim.

Wanda Ceraska (obecnie Jędrzejkowska) "Dusia" - studentka III-go roku farmacji - była łączniczką Komendy Głównej, utrzymując kontakty z poszczególnymi członkami. Współpracowała zwłaszcza z Janem Golką. W czasie okupacji "Dusia" była członkiem NSZ i od tego okresu datowała się jej znajomość z "Lechem" (Jerzym Pilacińskim). Gdy ją poznałam była w bardzo trudnej osobistej sytuacji, spowodowanej ciężką chorobą Matki. Leszek uważał, że zaangażowanie się w pracę konspiracyjną może pozwolić jej wyrwać się z zapaści psychicznej.

"Dusia" pracowała bardzo ofiarnie, ale jej myśli - co jest zrozumiałe - były stale przy Matce, która zmarła wkrótce po aresztowaniu "Dusi". Na "dziesiątce" przez parę miesięcy siedzieliśmy w sąsiednich celach, ale nasze kontakty były utrudnione, gdyż Dusia siedziała w celi "Marcysia" Malessy, więc była pod stałym ostrzałem władz więziennych, z którymi "Marcysia" wyklócała się o zwolnienie ujawnionych, zagwarantowane "oficerskim słowem honoru" danym przez Różańskiego.

Walentyna Jeremicz "Wala" była studentką IV roku medycyny. Od grudnia 1945 do dnia aresztowania była skrzynką kontaktową Komendy Obszaru I oraz utrzymywała łączność z członkami Komendy Głównej oraz ze mną. W więzieniu nigdy się nie spotkałyśmy, ani bezpośrednio, ani przez ścianę, a dopiero na sali sądowej.

Proces Komendy Głównej NZW był rutynowo poprzedzony czytaniem zeznań, co stanowiło już oficjalne zakończenie śledztwa. Czytanie tych akt zajęło mi sporo czasu. Mogłam wtedy stwierdzić, że sankcje prokuratora, które miały być wydawane na 3 miesiące, były podpisywane po znacznie dłuższym okresie czasu. Pamiętam też dobrze, że gdy przewróciłam ostatnią kartę protokołów zeznań, zobaczyłam coś zupełnie nowego, a mianowicie AKT OSKARZENIA. Oczywiście chciałam go przeczytać, ale śledczy szybko się zorientował, wrzasnął *"to nie dla was"* i wyrwał mi ten tom z ręki. Wtedy już naocznie mogłam się przekonać o tym, o czym się między nami mó-

wiło, że akty oskarżenia są przygotowywane w śledztwie łącznie z gotowymi już wyrokami.

Jeszcze przed zakończeniem śledztwa przeniesiono mnie z "Oddziału dziesiątego" na "jedenastkę". Wyszła na wolność moja towarzyszka Anna Grocholska, przez jakiś czas siedziałam sama, a potem z panią Heleną Sieradzką, związaną ze sprawą Witolda Pileckiego. Mąż jej - "Mokry" - był sądzony w procesie Pileckiego. Sąsiadowałam wtedy ze Staszkiem Kasznicą - moim krewnym. Poznałam go dopiero w więzieniu, a nawet mogliśmy się zobaczyć przez dziurkę wydrążoną drutem od łóżka. Prowadziliśmy długie rozmowy przez ścianę. W czasie procesu codziennie składałam mu szczegółowe sprawozdanie, a on mi udzielał różnych rad. Ten kontakt ze Staszkiem był dla mnie ogromnie ważny.

Proces rozpoczął się rano 6-go października. Po rewizji osobistej prowadzono nas wszystkich razem na rozprawę. Szliśmy długim korytarzem, było trochę luzu. "Henryk" podpierał się jakimś kosturem, utykał, najwidocznie zadana mu rana postrzałowa uszkodziła kość. Mimo to był w świetnym humorze. Nie pamiętam, czy jeszcze na korytarzu, czy już w sali sądowej wyciągnął skądś odłamek lusterka i zwrócił się do nas "Dziewczynki! Chcecie się przejrzeć?" Sala sądowa to była na ten cel zamieniona kaplica więzienna. To było widać od razu po całym układzie sali, choć oczywiście nie było żadnych emblematów religijnych. Na ścianach wisiały jeszcze obrazy o treści batalistycznej. Okna były naprzeciwko drzwi wejściowych. Pod nimi były ławy przeznaczone dla nas. Obrońcy siedzieli przed nami. Mogliśmy oglądać ich plecy. Rodziny - na rozprawę mógł wejść tylko jeden człowiek z każdej rodziny - siedziały po stronie wejściowej. Wysoki sąd zasiadał w głębi po prawej stronie od nas, w prezbiterialnej części dawnej kaplicy. "Publiczność" na ogół nieliczna - bo poza grupą strażników i milicji składała się jedynie z "szarych eminencji" - zasiadała ławy naprzeciwko zespołu sędziowskiego. Pamiętam, że zabierano nas rano po śniadaniu, a posiedzenia sądu trwały długo i zwykle kończyło się już po naszym obiedzie. Za każdym razem rodziny obecne na sprawie musiały prosić o pozwolenie na podanie nam kanapek. Nie zawsze się udawało, pomimo gorących prośb, i siedzieliśmy głodni, nie mogąc się skontaktować nawet z adwokatami. Czasem tylko udawało im się poczęstować nas papierosem. Któregoś jednak dnia wybuchła wielka awantura, gdy w bułce podawanej Jankowi przez Jego siostrę, Basię, oddziałowy znalazł igłę czy szpilkę. Bułkę natychmiast zabrano, Basia tłumaczyła się, że to jakiś przypadek, ale to nic nie pomogło i tego dnia nikt nie dostał śniadania.

W naszym procesie skład Rejonowego Sądu Wojskowego w Warszawie był następujący:

Przewodniczący - mgr Roman Abramowicz mjr

Ławnik - Kazimierz Adamczewski por.

Ławnik - Marian Wicha por.

Wiceprokurator Naczelnej Prokuratury Wojskowej Zenon Rychlik mjr

Protokulant - Ryszard Czarkowski por.

Naszymi obrońcami byli adwokaci: Grabowska, Polatyński, Sobczyński, Kołakowski, Pintarowa i Wagner.

Dla obrony Leszka Rodzice Jego zaangażowali adwokata Mieczysława Maślankę. Miał on renomę adwokata umiejącego wybronić od wyroku śmierci, albo też uzyskać ułaskawienie dla klienta. Przed samym jednak procesem Maślanko zrzekł się obrony i przekazał ją mecenas Grabowskiej. Na wolności nie zdawano sobie sprawy z tego, że

Maślanko miał dobre układy z Różańskim i innymi wysokimi dygnitarzami z MBP, więc bronił tylko w sprawach, w których wyroki śmierci nie miały być wykonane. Nic więc dziwnego, że zrzekł się obrony Leszka, wiedząc że wyrok KS nie będzie objęty amnestią, a Bierut, kierując się opinią sądu, nie skorzysta z prawa łaski.

Mój adwokat - mec. Polatyński odwiedził mnie niedługo przed rozpoczęciem procesu. Z krótkiej, przeprowadzonej z nim rozmowy, zapamiętałam jedynie jego propozycję, że zrobi ze mnie "słodką idiotkę". Z oburzeniem mu na to powiedziałam, że nie życzę sobie ani słodkiej ani idiotki! Z tego spotkania odniosłam tylko jedną korzyść, a mianowicie, że wsunęłam mu do teczki moje pamiętki z chleba, które chciałam przekazać rodzinie.

Odczytywanie aktu oskarżenia trwało chyba 2 czy 3 dni. A potem były zeznania oskarżonych w ustalonej kolejności. Pierwszy zeznawał Leszek. Trwało to trzy dni. Brał wszystko na siebie. Chciał szczególnie chronić nas - kobiety, *które szepem podczas rozprawy zobowiązał do ukończenia studiów po wyjściu z więzienia*³. Jeżeli chodzi o mnie, to podkreślał, żebym zeznawała, że wszystko wykonywałam na jego polecenie i nie przyznawała się, że byłam szefem łączności. Mnie nie obowiązywał w sposób szczególny do ukończenia studiów, gdyż jako studentka byłam "najmłodsza stażem". Przed wojną byłam na I roku fizyki, w czasie okupacji nie miałam warunków na podjęcie studiów, chociaż się do nich przymierzałam, a na jesieni 1945 zapisałam się na SGH, bo wtedy była to dla mnie jedyna możliwość.

W akcie oskarżenia zarzucano nam współpracę z Niemcami. Ten zarzut stosowano nagminnie we wszystkich procesach owego czasu. I tu muszę przywołać zeznania Tadeusza Zawadzkiego. Oczywiście zupełnie nie pamiętam treści jego wypowiedzi, a jedynie to, że udokumentował w sposób nie do obalenia absolutny brak współpracy z okupantem. W tym celu przytaczał mnóstwo faktów. W efekcie tego wystąpienia zostaliśmy całkowicie oczyszczeni z tego oskarżenia i nawet w dokumentach nie zostało ono uwidocznione.

Ten proces, który - według obietnicy Różańskiego - miał być tak nagłośniony, toczyć się w obecności dziennikarzy i być odpowiednio przez nich "opluty", odbywał się przy drzwiach prawie zamkniętych, gdyż dopuszczano po jednym członku rodziny. Najpierw bowiem - już na samym wstępie - zamordowano w śledztwie Tadeusza Łabędzkiego. Byłam ostatnią osobą słyszającą jego głos. W parę dni po moim aresztowaniu, leżąc w bezsennej nocy na pryczy w maleńkiej celi podziemi MBP usłyszałam, że kogoś w bardzo ciężkim stanie znoszą po schodach. Nasze postawiono przy stoliku, a oddziałowy - repatriant z Francji - zapytał o nazwisko leżącego więźnia. I wtedy on, którego rżenie i ciężki oddech napawały mnie zgrozą, odpowiedział wyraźnie: *Tadeusz Łabędzki*. A potem już tylko stukot oddalających się kroków oddziałowych niosących Tadeusza.

Zarówno w śledztwie, jak i podczas całej rozprawy, nazwisko Tadeusza nie zostało nigdy wymienione. Jakby nie istniał, jakby Go nie było. Rodzinie, na zapytania, odpowiadano najpierw że uciekł, a potem, że umarł śmiercią naturalną. Osobę jego otaczała jednak cały czas zмова milczenia. Dopiero proces Humera, oskarżonego między innymi o spowodowanie śmierci Tadeusza na skutek tortur w śledztwie, sprawił, że przyczyna jego zgonu została publicznie ujawniona, ale morderca pozostał nadal nie-

3 Marcin Zaborski, *Porucznik "Tomasz" - Lechostaw Roszkowski (1916-1948)*, "Palestra" 12/1994 nr 1.

znany, gdyż Humer gwałtownie zaprzeczył oskarżeniu, a dostatecznych dowodów nie było.

Gdyby nasz proces był otwarty dla publiczności, to nazwisko Tadeusza musiałyby na nim być wymienione, a do tego przecież nie można było dopuścić.

Drugą osobą "non grata" był Jerzy Hass. Został wyłączoney nawet z naszego procesu, bo UB nie mogło ścierpieć tego, że nasze rodziny i my - oskarżeni - jesteśmy świadkami jego kalectwa spowodowanego nieludzkimi metodami śledztwa.

Bywały jednak takie momenty, że sąd i "publiczność" opuszczały salę i wtedy można było kontaktować się ze sobą. Wtedy to Leszek przekazywał nam polecenia, wtedy też koledzy przekazywali "Agacie" - licząc na jej szybsze niż moje wyjście z więzienia - treści odezwy - testamentu, skierowanego do byłego Komendanta NZW, płk Tadeusza Danielewicz "Kuby". Odezwa ta została zredagowana przez Janka Golkę. "Agata" ją zapamiętała i po wyjściu przesała do Londynu. Przytaczam ją za Marcinem Zaborskim⁴: *Bogu posłuszeństwo, Narodowi wierność, a Polsce - wielkiej wartości człowieka - synowskie oddanie. Czwarte pokolenie ruchu narodowego roznieci brząsk w światło nowego dnia, wówczas polski nacjonalizm zdejmie brzemień miecza walki i stanie się twórczym wkładem w życie zbratanych narodów wolnego świata.*

W końcowej fazie procesu, bo 28 października (był to dzień imienin Tadeusza Zielińskiego "Wujka" i dlatego tę datę on zapamiętał) nastąpił fakt jedynej chyba w historii procesów tego czasu. Tego dnia bowiem wszyscy mężczyźni przyjęli Komunię św. Zacytuję tutaj fragment tego samego artykułu M. Zaborskiego, który oparł się w nim na relacji płk. Zielińskiego⁵.

Przebieg procesu niedwuznacznie wskazywał, że wszyscy mężczyźni dostaną karę śmierci, dlatego też postanowili oni wspólnie, że przyjmą sakramenty pokuty i komunii św. Płk. T. Zieliński wyświadał się u księdza-współwięźnia, natomiast pozostali mężczyźni sakrament pokuty otrzymali warunkowo. Umówiony ksiądz-więzień o określonej porze patrzył przez okno swej celi na dziedziniec i udzielał rozgrzeszenia, natomiast por. L. Roszkowski, kpt. T. Zawadziński, kpt. Jan Morawiec i por. J. Golka w tym samym czasie, patrząc na dziedziniec z okien swoich cel, szeptem wyznawali grzechy. 28 października, gdy sąd zarządził krótką przerwę w rozprawie i opuścił salę, mężczyźni przyjęli komunię św. Komunikanty przyniosła adwokat Antonina Grabowska w małym pudełeczku, które dyskretnie przekazała oskarżonym. Następnie podeszła do stojących nieco dalej strażników, dała im po paczce papierosów i wszczęła głośną rozmowę. W tym czasie każdy mężczyzna po kolei udzielał sobie sakramentu, podchodził do okna i patrząc na zewnątrz odmawiał krótką modlitwę.

Ja szczególnie zapamiętałam Leszka, gdy tak w wielkim skupieniu przyjmował Najświętszy Sakrament i stał przed oknem, miał chyba schyloną głowę, cały pogrążony w modlitwie. To było i dla nas ogromne przeżycie, którego nie można zapomnieć. Leszek - podobnie zresztą jak Tadeusz i Henryk - był przekonany, że wyrok śmierci będzie na nim wykonany. Mówił mi o tym w jakiejś krótkiej między nami rozmowie, uważając jednocześnie, że jego rola już się jakoś skończyła. Gorąco starałam się go wtedy przekonać o tym, jak bardzo jest potrzebny nam wszystkim i swemu synkowi. Mówiliśmy też o przyjaźni, która nas łączyła i za tę jego Przyjaźń mu dziękowałam.

4 M. Zaborski, *Komenda Główna NZW...*, dz.cyt.

5 M. Zaborski, *Porucznik "Tomasz" ...*, dz.cyt.

To była nasza ostatnia i bardzo ważna rozmowa - zakończenie naszej współpracy - i na zawsze pozostanie w mojej pamięci.

Proces nasz dobiegał końca. Zanim doszło do odczytania wyroku była jeszcze długa mowa prokuratora, w której reasumował swoje oskarżenie w stosunku do każdego z nas po kolei, proponując jednocześnie wysokość mającej być przez sąd orzeczonej kary.

Zapamiętałam z tego jeden mały fragment tej mowy, rozpoczynający oskarżenie mojej osoby: *Jakkolwiek oskarżona Czaplinska rozpoczyna serię kobiet, to jednak z racji wagi swoich przestępstw powinna być zaliczoną do mężczyzn*. I tu wymienił listę moich przestępstw, a zakończył tymi mniej więcej słowami: *Nie było takich poleceń ze strony przełożonych, których by oskarżona Czaplinska nie wypełniała gorliwie, czym zasłużyła na uznanie z ich strony i na 10 lat wyroku, który proponuję*.

W roku naszego procesu dzień Wszystkich Świętych wypadł w sobotę, w poniedziałek - 3 listopada - po raz ostatni zaprowadzono nas na odczytanie wyroku. Wtedy po raz pierwszy sala była pełna.

Obecne były nasze rodziny. Wyrok odczytywano bardzo długo, bo najpierw wymieniano przestępczą działalność każdego oskarżonego, następnie - w tej samej kolejności - odczytano wyroki, a wreszcie ich uzasadnienie. Razem bite 34 strony maszynopisu. Z tej obszernej całości przytaczam tylko wysokość wymierzonych kar:

1. Lechośław Roszkowski - trzykrotna kara śmierci oraz kary więzienia - łącznie KS;
2. Tadeusz Zawadziński - trzykrotna kara śmierci - łącznie KS;
3. Jan Morawiec - siedmiokrotna kara śmierci i kary więzienia, - łącznie KS
4. Jan Golka - 12 i 5 lat więzienia, a po amnestii łącznie 8 lat;
5. Tadeusz Zieliński - dwukrotna kara śmierci oraz kary więzienia, po zastosowaniu amnestii - łącznie 15 lat więzienia;
6. Ruta Czaplinska - dwukrotnie 10 lat więzienia - łącznie 10 lat;
7. Maria Nachtman - 6 lat więzienia, po amnestii 3 lata więzienia;
8. Wanda Ceraska - 4 lata więzienia, po amnestii kara umorzona;
9. Walentyna Jeremicz - 3 lata więzienia, na mocy amnestii kara umorzona.

Utrzymane wyroki śmierci w stosunku do Leszka, Tadeusza i Henryka były na mocy artykułu 8 Dekretu *O przestępstwach szczególnie niebezpiecznych w okresie odbudowy państwa...* z dnia 16 listopada 1945 roku. Artykuł ten dotyczył zbrodni szpiegostwa i nie podlegał żadnej amnestii. W późniejszych procesach powyższy dekret został zastąpiony przez inny, tzw. Mały Kodeks Karny, wydany w 1946 roku. Szpiegostwo w tym dekreście zostało objęte artykułem 7. Stąd na ogół każdy kojarzy szpiegostwo z "siódemką", a nie z "ósemką".

W naszym procesie skazanym za szpiegostwo z tego artykułu zarzucano, że materiały, uznane przez sąd za wywiadowcze, były przekazywane za granicę do Tadeusza Bieleckiego, ówczesnego prezesa Stronnictwa Narodowego. Pionem wojskowym Stronnictwa było właśnie Narodowe Zjednoczenie Wojskowe z jego Komendą Główną. Na tym polega więc cały absurd oskarżenia i wyroków, w których moich trzech kolegów straciło życie, a ja odsiedziałam swój wyrok w całości.

W przytoczonych powyżej wyrokach nie uwzględniłam kar dodatkowych, a mianowicie przypadku mienia i utraty praw obywatelskich i honorowych. Przepadek mienia orzeczono w stosunku do wszystkich uczestników procesu, zaś okres utraty praw obywatelskich różnicowano w zależności od orzeczonych wyroków. Wszyscy z karą

śmierci mieli utratę praw tych na zawsze, Janek Golka i ja - na przeciąg 5 lat, Maria Nachtman na 2 lata, a Wanda Ceraska i Walentyna Jeremicz na przeciąg 1 roku.

Proces się zakończył i sąd oraz "nie zainteresowana publiczność" opuściły salę. Wtedy koledzy skazani na karę śmierci mieli swoje ostatnie widzenia z rodzinami. Byli rodzice Leszka, Tadzia, matka i chyba siostra Janka Morawca. Rodziny, jak pamiętam, siedziały w głębi sali, na miejscach nieobecnej "publiczności", oddzielone jednym rzędem krzesel czy ławek od naszych kolegów. Byli oczywiście bacznie pilnowani przez strażników. Pamiętam, że Tadeusz podczas rozmowy zapytał o kogoś znajomego, na co otrzymał odpowiedź, że nie żyje. Zdaje mi się, że padło słowo *powiesił się*. Zrobił się straszliwy rumor i krzyk i widzenie natychmiast przerwano. To było straszne. Nie pomogły żadne prośby i tłumaczenia. Widzenie - ostatnie widzenie syna z rodzicami - zostało przerwane bez możliwości pożegnania....

Po raz ostatni cała nasza grupa wracała razem na "dziesiątkę". I tym razem, jak zwykle, ustawiono nas, kobiety i kolegów, po przeciwnych stronach korytarza, gdzie czekaliśmy na oddziałowych, którzy prowadzili nas do naszych cel. I tym razem, jak zwykle, Henryk stanął przy drzwiach celi płk. Lipińskiego, z którym już kiedyś siedział i Morsem zdawał mu relację z przebiegu procesu. On nigdy nie tracił głowy ani czasu. I stojąc na korytarzu można było tylko na siebie patrzeć i w myśli przekazywać wszystko to, co się czuło, a czego nie można było wypowiedzieć.

Mnie z "Agatą" zabrano nazajutrz na oddział ogólny, tak zwany "ogólniak". Spotkałyśmy tam sporo naszych znajomych koleżanek, które były wcześniej osądzone. O Dusi i Wali myślałyśmy z radością, że są już w domach. Dopiero niedawno, po nawiązaniu kontaktu z Dusią, dowiedziałam się od niej, że nie wyszła od razu na wolność, ale że Ją zaprowadzono do jakiejś śledczej celi, gdzie trzymano ją bez rzeczy osobistych, bez siennika i koca i bez żadnej informacji jeszcze 2 tygodnie. Te ostatnie dwa tygodnie więzienia były dla Niej szczególnie ciężkie, zwłaszcza, że w czasie procesu dowiedziała się, że Ojciec Jej nie żyje i że zmarł w rok po śmierci Jej Matki.

Dusia miała bardzo trudną wolność, bo w dodatku do Jej osobistych cierpień była ustawicznie śledzona i wzywana na rozmowy do UB. Przeżywała prawdziwą gehennę, która trwała 5 czy 6 lat, kiedy jak mi opowiedziała - zebrała się na odwagę i pojechała do Wojskowej Prokuratury w Warszawie i powiedziała, że jak chcą, to niech ją zmkną, ale niech ją przestaną dręczyć. W rezultacie kazano Jej złożyć zażalenie na piśmie i podać rysopisy osób, które ją indagowały i śledziły. Ona znała z twarzy nawet tych, co stali pod bramą i patrzyli w okno, bez względu na pogodę!!

10 grudnia 1947 roku Najwyższy Sąd Wojskowy utrzymał wyrok w mocy, a 8 stycznia 1948 roku Bierut nie skorzystał z prawa łaski i już 10-ego tego miesiąca Najwyższy Sąd Wojskowy przesłał akta sprawy skazanych kolegów *celem niezwłocznego zarządzenia wykonania wyroku*.

Oddział karno-śledczy (Ogólniak) był usytuowany pod kątem prostym do pawilonu śledczego. W celi, w której znalazłyśmy się z Agatą, okna wychodziły na tę stronę, po której siedzieli nasi koledzy. Zajmowali kolejne cele. W najbliższych od nas siedział Tadzio, Przez jakiś czas udawało nam się nawiązać z nim kontakt bardzo skromny. Stawałyśmy przy oknie i starałyśmy się gestami przekazywać, że jesteśmy z nimi i że wierzymy w ich ulaskawienie. Z "ogólniaka" chodziło się na spacer i co 2 tygodnie do łaźni. Wtedy nasi koledzy pokazywali się w oknach. Zapamiętałam zwłaszcza Tadzia, gdy tak stał, uśmiechał się, ale jednocześnie dawał znak, wodząc ręką po szyi, na co myśmy zaprzeczały kręcąc energicznie głowami. Ktoś nas jednak zaka-

pował. Ukarano nas pozbawiając spacerów przez miesiąc; w celi pilnowano, żebyśmy nie wyglądały przez okno, a po jakimś czasie - już po Bożym Narodzeniu - przeniesiono nas wszystkie do innej celi.

Znacznie później dowiedziałyśmy się, że wyroki zostały wykonane 13 stycznia w więzieniu mokotowskim. Cytuję tutaj za Marcinem Zaborskim⁶: *Obecni byli: dr Stefania Jabłońska, ks. ppłk. Michał Zawadzki, naczelnik więzienia kpt. Alojzy Grabicki i prokurator ppłk. Czesław Szpądrowski. Mordował st. sierżant Robert Śmietański: o 20²⁰ - kpt. T. Zawadzińskiego, o 20⁴⁵ - kpt. J. Morawca, o 20⁵⁹ - por. L. Roszkowski. Ciała pomordowanych wywieziono na Służew.*

Gdy po 10 latach wyszłam na wolność, nie udało mi się nawiązać kontaktów z pozostałymi przy życiu kolegami. Wiedziałam, że "Agata" skończyła medycynę i mieszka w Wołominie, a Janek się ożenił, mieszka w Kielcach i pracuje jako scenograf. Nic nie wiedziałam o "Dusi", "Wali" i "Wujku".

W początkach lat dziewięćdziesiątych odezwał się do mnie Marcin Zaborski, który zbierał materiały do swego artykułu o naszym procesie. Dowiedziałam się od Niego, że "Wujek" jest jego krewnym, że on sam dotarł do uczestników procesu lub do ich rodzin. O śmierci Janka wiedziałam już wcześniej, a o "Wali" dowiedziałam się od niego. Dostałam adres "Dusi". Okazało się, że mieszka w Łodzi i to na tej samej ulicy, co moja siostra, która dopiero kilka lat temu przeniosta się na przedmieście. Ja tak często tam bywałam, a nigdy nie spotkałyśmy się! Moje koleżanki dotrzymały zobowiązań i ukończyły studia. Ja - po wyjściu z więzienia - zdecydowałam się na biologię. Zdałam w maju 1956 najpierw na studia zaoczne Uniwersytetu Łódzkiego, ale po kilku miesiącach udało mi się przenieść na studia stacjonarne do Wrocławia, gdzie zamieszkałam. Pomimo ukończenia studiów zostałam (według mego własnego określenia) "biologiem nie praktykującym", bo z taką przeszłością nie było dla mnie miejsca na uczelni, a chciałam pracować naukowo. Ostatecznie, wykorzystując zdobyte w więzieniu podstawy języka angielskiego i ustawicznie pogłębiając jego znajomość, zostałam redaktorem-weryfikatorem prac naukowych z różnych dyscyplin technicznych.

Marcinowi Zaborskiemu zawdzięczam także spotkanie z Tadeuszem Zielińskim "Wujkiem", gdyż w tym celu pojechał ze mną do Podkowy Leśnej. To spotkanie było dla mnie wielkim i bardzo cennym przeżyciem. Po tylu latach mogliśmy porozmawiać o przeszłości. Od niego też otrzymałam niesłychanie cenną i ważną pamiątkę-dokument. Była to dla mnie zupełna niespodzianka, gdyż otrzymałam ją od Marcina Zaborskiego w jakiś czas po spotkaniu. Pozwalam sobie w tym miejscu przytoczyć treść jej w całości:

20 X 1991 r.

Oświadczenie

Ja, Tadeusz Wolfgang Zieliński, ppłk NSZ i WP, były Komendant Okręgu Lubeskiego NSZ i NZW, Komendant Ziem Wschodnich NSZ i II Obszaru NZW oświadczam, że w latach 1945, 1946 znałem p. Rutę Czaplinską jako aktywnego żołnierza Narodowego Zjednoczenia Wojskowego w stopniu podporucznika i o pseudonimie "Ewa". P. R.

6 M. Zaborski, *Komenda Główna NZW...*, dz.cyt.

Czaplińska była szefem łączności w Komendzie Głównej NZW i przez to utrzymywałem z nią częste kontakty. P. R. Czaplińska zajmowała się m.in. obsługą łączności Komendy Głównej z moim Obszarem I Okręgiem, tj. z Lubelszczyzną.

P. R. Czaplińską znam również z procesu Komendy Głównej NZW, w której byliśmy razem sądzeni, wraz z ośmioma innymi żołnierzami NZW, m.in. z Lechostawem Roszkowskim ps. "Tomasz", Tadeuszem Zawadzińskim ps. "Wojciech", Janem Golką "Klemensem", Janem Morawcem "Henrykiem". P. R. Czaplińska została skazana wtedy na 10 lat więzienia, którą to karę, o ile mi wiadomo, odsiedziała w całości.

Stwierdzam, że swoją działalnością p. Ruta Czaplińska dobrze zasłużyła się Polsce.

/-/ Tadeusz Zieliński

ppłk WP

ppłk NSZ

Miałam nadzieję, że spotkam jeszcze "Wujka" na sprawie o unieważnienie naszych wyroków. Niestety, nie doczekał tego dnia, zmarł w styczniu 1992 roku około 1-go tygodnia przedtem.

Tego samego roku w dniu 8 listopada zmarła "Agata" - Maria Nachtman. Niestety, nie byłam w stanie pojechać na jej pogrzeb.

W końcu lat siedemdziesiątych przyjechał do Polski, po raz pierwszy, Jurek Pila-ciński - "Lech" razem z żoną Barbarą. Pojechałam do Łodzi, żeby się z nim spotkać. Padliśmy sobie bez słowa w ramiona. A potem długie, długie opowiadania o jego losach oraz o nas, o więzieniu i naszym procesie. I znowu było to pierwsze i ostatnie spotkanie, bo Jurek zmarł kilka lat temu w Stanach.

Obecnie Dusia i ja jesteśmy ostatnimi żyjącymi uczestniczkami procesu Komendy Głównej Narodowego Zjednoczenia Wojskowego.

Dzięki wspomnieniom p. Makarego Sieradzkiego, sądownego w sprawie Witolda Pi-leckiego, wiemy o ostatnich tygodniach życia Leszka.

Okazało się, że Leszek czeka na decyzję prezydenta w sprawie ulaskawienia, tj. zamiany kary śmierci na dożywocie, ale nie ma nadziei na decyzję pozytywną.... Na-strój celi w obliczu "majestatu śmierci": był więc poważny. Wkrótce otworzyliśmy się nawzajem i wszelkie opory, normalne w więzieniach PRL, gdzie funkcjonuje sieć kon-fidentów i donosicieli, zniknęły. O czy rozmawialiśmy? Oto tematy:

Losy, historiozofia, aktualna sytuacja polityczno-społeczna i perspektywy Polski na tle losów Europy i świata. To był chyba temat główny. Patriotyzm i kosmopolityzm. Charakter narodowy, wpływ niewoli i walki o wolność na jego treść. Rodzina. Ko-ściół. Szkoła. Charakter i cele komunizmu rosyjskiego.

Leszek interesował się filozofią prawa (studiował prawo) i dawał temu wyraz. Był to także jeden z tematów naszych rozmów. Codziennie czytaliśmy i komentowaliśmy Nowy Testament. Leszek dużo czasu poświęcał cichej modlitwie, siedząc przy stoliku. Uzgodniliśmy pewnik, że żadne niewinne cierpienie ludzkie nie przemija z wiatrem, że cierpiąc dla naszej sprawy, znosząc różne upokorzenia i udręki, uczestniczymy w wal-ce o wolność Polski, której martyrologia wyda kiedyś obfite owoce. Nie wolno się załamywać, wątpić, wahać. Nasza sprawa jest czysta i święta. Trzeba wypracować w sobie postawę wolności, godności i niezależności ducha, a współczuć niewolnikom, którzy nas gnębią. Mieliśmy z Leszkiem taką postawę. Prosił mnie i zobowiązał, bym - o ile wyjdę z więzienia - przekazał rodzinie Jego prośbę, aby wszelkie modlitwy i nabożeństwa w Jego intencji nie miały charakteru żałobnego, lecz dziękczynny, Czud

się bowiem czysty, niewinny, wyróżniony i zaszczycony przywilejem, że oddaje swoje życie za Wielką Sprawę. A drugie Jego pragnienie: by ciało Jego spoczęło obok żony w jednej mogile.

Pewnego poniedziałku, około godziny 10-tej zabrano Leszka z celi. Wrócił wkrótce spokojny, jak zwykle, i mówi, że był na widzeniu z p. Grabowską, obrończynią. Powiedziała Mu, że Rada Państwa z prawa łaski nie skorzystała i że w najbliższy czwartek będzie stracony.

W celi zapanowała cisza, przez kilka godzin nie rozmawialiśmy. Także cały wtorek, środę i czwartek spędziliśmy w stanie niemal całkowitego modlitewnego milczenia. Leszek wszystkie te dni spędził na cichej, skupionej modlitwie siedząc przy stoliku, gdy ja spacerowałem po celi. Modlił się także w nocy, od 18 do 6 rano. W czwartek, około godziny 17-tej wchodzi oddziałowy (klucznik - "wychowawca" więźniów) i mówi: "Roszkowski! Pakować się!" - Leszek w tym momencie stracił spokój i jął się nerwowo pakować, pożegnaliśmy się także jakoś nerwowo, gdy oddziałowy wkrótce otworzył drzwi i zawołał: "wychodzić!!"

|-| Makary Sieradzki

P.S. Tekst powyższy przeczytałem pani, która spostrzegła brak ważnej informacji, a mianowicie Leszek zostawił mi "Nowy Testament" z prośbą, bym go przekazał synowi. Szczęśliwy przypadek sprawił, że dr Seybold, Niemiec, więzień zatrudniony w ambulatorium więziennym dowiedział się od jakichś dobrych duchów o naszym losie i spowodował 2-krotne spotkanie z żoną pod pozorem świadczenia nam pomocy lekarskiej. W czasie drugiego spotkania wręczyłem żonie "Nowy Testament", a ona przekazała go p. Nachtmanównie (siedziały w jednej celi), która miała go przekazać rodzinie Leszka. Czy przekazała? ...

Tutaj muszę dodać, że "Agata" znała rodziców Leszka jeszcze na wolności, bo w czasie wojny mieszkali w Wołominie. Po trzech latach pobytu w więzieniu przekazała Nowy Testament matce Leszka.

Nic nie wiem, z kim siedzieli Tadeusz i Henryk i dlatego nie mam żadnej wiadomości o ich ostatnich tygodniach. Na sprawie o unieważnienie wyroku poznałam siostrę Henryka. Opowiedziała mi, że gdy wieczorem 15 stycznia 1948 roku siedzieli wszyscy w domu, to zsunęła się ze ściany gabłota z wieloma odznaczeniami sportowymi Henryka. Zrozumieli, że jest to znak od niego i okazało się, że była to godzina wykonania wyroku.

Moje wspomnienia pragnę zakończyć krótką relacją mojej młodszej siostry - Marii Knabe - która razem z moją Matką była na ogłoszeniu wyroku:

... Zawiadomiła mnie Mama, żebym przyjechała do Warszawy na odczytanie wyroku... Mama była bardzo napięta. Pamiętam, że szykowała dla Ruty bułki z masłem i miodem, bo może się uda jakoś Rucie podać? Wstyd powiedzieć, ale zazdrościłam Rucie tych bułek z miodem, bo był to dla nas wtedy nieosiągalny luksus. Pojechaliśmy, czy poszłyśmy z Mamą na Rakowiecką do więzienia. Sprawdzanie dokumentów, kraty, korytarze, kraty. W końcu jesteśmy na miejscu. Duża sala, ławki jak w kościele, okna z prawej strony, stół, za nim sędziowie w mundurach. Z boku nasi chłopcy, Ruta, jakieś kobiety i pełno milicji.

"Proszę wstać", długo odczytywane sentencje wyroku. Po kilkakrotne powtarzanie "Kara śmierci": Tadeusz Zawadziński, Leszek Roszkowski, Jan Morawiec. O Tadeu Łabędzkim ani słowa. Twarze chłopców napięte. Bez drgnięcia. A w ławkach rodzice: pp. Roszkowscy, Zawadzińscy, siostra Morawca, nasza Mama. Ruta - lat 10. Potem, jak ich wyprowadzili, Ruta uśmiechnęła się do nas... Wychodziłyśmy przybite. Znowu kraty, korytarze, straż z psami. W pewnym momencie Mama już przeszła, przede mną zapadła krata. Przerazenie i Mamy i moje. Coś tam jednak sprawdzili. Krata się otworzyła. Przed więzieniem adwokaci rozmawiają. "To Maślanko" - mówi Mama - "a to pani mecenas Grabowska". Pani mecenas wydała mi się za bardzo wesółą, jak na to, że jej klient został skazany na śmierć. Po latach dowiedziałam się, że pani mecenas Grabowskiej udało się podać chłopcom Komunię św.

Rutę zobaczyłam dopiero 6 kwietnia 1956 roku. Na widzenia nie jeździłam. W ciągu 10 lat urodziłam pięcioro dzieci... nie było więc łatwo. Wiedziałam, że Ruta przyjedzie do Łodzi. Bałam się spotkania. Jak będzie wyglądała po tych 10 latach? I jak ja na to zareaguję?

Dzwonek do drzwi, Otwieram. Ruta, mizerna bardzo, szczupła, może chuda, ale uśmiechnięta, na głowie loczki...

Pa 10. 929

